

cia Ameryki

2. Maskarada z morałem

Wieczór ten był wszechstronnym pokazem niedojrzałości. Pokazano niedojrzały dramat w niedojrzalej reżyserii, sygnowanej renomowanym nazwiskiem, w niedojrzalej oprawie plastycznej; dramat, odegrany niedojrzale przed publicznością, której dojrzałość — zważywszy na chwilę ciszy, zapatrzeń i zaśłuchań — również należałoby postawić pod znakiem zapytania.

„Człowiek z gestem” — dzieło autora meksykańskiego — jest utworem pełnym dobrej woli: naiwnym i dramaturgicznie, i myślowo. To, co dzieje się na scenie, zbyt często polega na przypadku; zbyt często postaci wchodzą i wychodzą bez istotnej motywacji, ot, jak w życiu, albo też z motywacją jawnie służebną, ot, byle powiedzieć i załatwić, co autor uzna za konieczne. Własnej logiki charakterów brak; rzecz rozgrywa się wśród szablonów. Sztuka ta, udając realizm, utożsamia w połowie pomiędzy życiowym prawdopodobieństwem a umownościami z gatunku publicystyczno-kaznodziejskich.

Za to wyraża płomienny protest. Przeciw fałszowaniu dziejów rewolucji meksykańskiej. Przeciw intrygom i zbrodniom, w jej imieniu dokonywanym. Przy czym autor myli politykę z sentymentalnym moralizowaniem: pragnąłby, by politykę pożarła moralność. Mylenie ze sobą tych dwóch porządków — zażębiających się, lecz nie tożsamy — jest złudzeniem tak nagminnym, że zawsze liczyć może na poklask. Zwykli zjadacze chleba lubią patos oskarżycielski, lubią upijać się własną niewinnością. Toteż Usigli — w ich imieniu — oskarża. I gorzko rozpacza. Ma bowiem pretensję do rzeczywistości, że nie pokrywa się z jego moralizowaniem — i cichą nadzieję, że jak będzie protestował, to mu się pokryje. Jest niedojrzały: pisząc o polityce, nie drwi. Drwić — to mówić „nie”, ale bez złudzeń, z szacunkiem dla samoczynnych mechanizmów świata. Usigli napisał moralistyczno-polityczny melodramat wartości, zamiast napisać farsę.

Bo i material prosił się o ujęcie farsowe. Jest w „Człowieku z gestem” scena, w której rozmowę obrachunkową prowadzą dwaj kontrkandydaci na gubernatora stanu: jeden zdeklarowany gangster, i drugi, zaginiony bohater rewolucji, dzięki zbiegowi okoliczności przywrócony do życia politycznego. I okazuje się, że ów bohater nie jest wcale zmartwychwstałym po latach szlachetnym generałem, lecz zwykłym mistyfikatorem, podszywającym się pod imię tamtego. Pragnie za to zrealizować piękne cele swego

zgladzonego imiennika... Jeden osobnik, posługujący się środkami nieuczciwymi, może budzić wzniosłą grozę; ale dwóch — przy tym drugi pełen dobrej woli — musi śmieszyć. Ich starcie, pełne wzajemnych pułapek szantażowych, mogło być pyszną sceną farsową. Podobnie finał, gdzie ów gangster, zamordowany przez popularnego w masach rywala, wygłasza do nich przemówienie, głoścąc chwałę zmarłego — jako bohatera prawdziwego... I ten lud w tle całej afery, który potrzebując bohaterów — czyli mitów — nie chce być jednocześnie oszukiwanym... Mechanizm intrygi i mitu budzi tu świętą grozę, zamiast drwiny, pełnej rezerwy.

Reżyser również protestuje przeciw nieprawościom. Powiedziałbym nawet, że bardziej niż autor. Żadna możliwość politycznego sofizmu, tu i ówdzie zawarta w tekście, nie wywoła na twarzy Skuszaneki uśmiechu. Natomiast czyha on gorliwie, by słowa w rodzaju „prawda”, „dobro”, „sprawiedliwość” — podkreślić, wybić, wykrzyczeć w stronę widowni, co szlachetnie podnieceni aktorzy czynią zresztą z reguły na gardle, przy zamkniętej krtani. Przedstawienie całe prowadzone jest w rejestrach niskich, dramatycznych; nawet rzeczy najprostsze mówią się namiętnie lub w tonacji ciemnej, wibrującej zasadniczością i zaangażowaniem. Tu się porusza główne problemy epoki, tu nie ma żartów... Żarliwy, namiętny protest moralny roku 62, w Polsce, dla widzów na dorobku.

Owszem, trafia się i humor, trafia się i satyra. Przedstawiciele ludu mówią bądź dyszkantem, bądź na wyprzódki; mile, pocziwe dryblasy. W pewnej scenie ktoś z gminu bawi się dobrodusznie rewolwerem, w innej znów ktoś odgania paczką muchy z portretu bohatera.

Postać tytułowa przez cały czas grana jest tak samo: patetycznie, z zamaską generalską, bohaterową. I nie wiadomo, czy to jej ujęcie oznaczać ma wzniosłość, protestu, czy kabotynizm udawacza. Aż prosi się o ziarno charakterystyczności: ubogi profesor, chcąc zostać herosem rewolucji, co raz to musi w sobie walczyć z profesorskim dyszkankiem, by sprostać wymaganiom od wielkiego generała basowi...

Poza tym są w przedstawieniu ogromne kaktusy, szerokie kapelusze, południowe temperamenty. Wszyscy udają, co potrzeba: mężczyzn, polityków, kobiety, lud, zbiorów, szlachetną młodzież. Maskarada jak na szkolnej zabawie. Z morałem.